

Przede wszystkim chcę podziękować wszystkim tu obecnym za udział w tej milej i dla mnie wzruszającej uroczystości, a zwłaszcza Szymonowi Malinowskiemu za tę inicjatywę i Pani Dąbrówce Stępniewskiej za wysilek włożony w jej organizację.

A przechodząc do wspomnień.

Podobno na Kongresie Wiedeńskim postanowiono, by oficjalne przemówienia przygotowywano na piśmie i następnie odczytywano z kartki, żeby nie było wątpliwości, co dokładnie zostało powiedziane. Ja w młodszych latach swoje wypowiedzi i wykłady w znacznym stopniu improwizowałem i w rezultacie musiałem niekiedy korzystać z notatek moich studentów, ale na starość język mi się czasami płacze, więc pozwolą Państwo, że skorzystam z doświadczeń dziewiętnastowiecznych dyplomatów i swoje obecne wystąpienie też odczytam z kartki.

Jak wiadomo odpowiedź na pytanie co trzeba zrobić, aby mieć jubileusz, brzmi: nic, byle wystarczająco długo. Jak widać w moim przypadku wystarczyło 90 lat, ale być może w listopadzie będzie kolejna podobna okazja, bo minie 70 lat od mojego zatrudnienia w naszym Instytucie, a ściślej w jego poprzedniku - Zespole Katedr Geofizyki UW, u prof. Teodora Kopcewicza, na stanowisku zastępcy asystenta. Istniało wtedy coś takiego i zatrudniano na nim dobrych studentów starszych lat, gdy brakowało zwyczajnych asystentów. Z braku czasu pominę obszerniejsze omówienie okoliczności tego zdarzenia i moją późniejszą działalność w tej roli. W każdym razie po półtora roku, w lutym 1956, uzyskałem stopień magistra matematyki (bo ją formalnie studiowałem, a pracę magisterską pisałem z topologii) i awansowałem na normalnego asystenta.

Następnie bardzo szybko zostałem wciągnięty w przygotowania III-go Międzynarodowego Roku Geofizycznego, który miał trwać półtora roku kalendarzowego: od połowy 1957 do końca 1958. Było to wielkie przedsięwzięcie o charakterze globalnym, nastawione na skoordynowane badanie różnych aspektów fizyki ziemi, jako swego rodzaju kontynuacja tradycji Pierwszego (1887) i Drugiego (1932) Międzynarodowego Roku Polarnego. Polskie władze przywiązywały do udziału Polski w tej imprezie wielkie znaczenie polityczne, co zapewniało niezłe, jak na ówczesne czasy, finansowanie, zarówno w złotych, jak i dewizach. Kierować pracami w tym zakresie miała PAN. Ponieważ strefy polarne i tropikalne były obszarami szczególnego zainteresowania ówczesnej geofizyki, zdecydowano się na zorganizowanie w ramach tej imprezy (III MRG) dwóch wypraw badawczych: polarnej na Spitsbergen i tropikalnej do Wietnamu. Miała powstać działająca do dziś stacja polarna w Hornsundzie i dwie placówki tropikalne: w górach w Cha Pa i nad morzem w Phu Lien. Te ostatnie miały działać we współpracy ze stroną wietnamską, a polski personel miał być tam wymieniany co pół roku. W Hornsundzie miała być między innymi zainstalowana stacja aerologiczna z radiosondażem i pilotażem optycznym; przewidywano codzienny radiosondaż przez cały okres trwania MRG i dodatkowo trzy w wybrane dni. Okazało się jednak, że na Spitsbergenie kilka innych ekspedycji ma podobne plany i aerologię przerzucono do Cha Pa. Aerologia była w zasadzie domeną prof. Kopcewicza, ale po udarze, którego doznał, był całkowicie wyłączony z jakiegokolwiek działania, a ja, jego asystent, byłem w tej dziedzinie już nieco oblatany. Zaproponowano mi więc zorganizowanie takiej stacji aerologicznej praktycznie od zera, dając mi w tym zakresie wolną rękę, na co się zgodziłem. Miałem więc jako 22-latek krótko po studiach wolną rękę, kompletny brak doświadczenia w organizowaniu

przedsięwziąć tego rodzaju i zastępcę w osobie 19-letniego studenta 3-go roku, Janusza Borkowskiego.

O ile na Spitsbergen wybierało się kilku jeszcze przedwojennych polskich polarników, tropiki były terenem w polskim środowisku geofizycznym praktycznie nieznanym i budzącym pewne obawy – dżungla, dzikie zwierzęta (podobno nawet tygrysy jeszcze się trafiały), jadowite węże, tropikalne robactwo i różne zarazki... Ostatecznie więc wyprawę wietnamską organizowała „młodzież”. Szef, Roman Teisseyre miał 29 lat, ja 22, reszta ekipy była w większości w podobnym przedziale wiekowym. Jednak jakoś daliśmy sobie radę, trochę na tzw. wariackich papierach, ale w końcu wyszło to całkiem nieźle.

Ja swoją działalność musiałem zacząć od wyboru typu radiosondy, spośród kilkunastu będących wówczas na świecie w użyciu, a następnie zorganizować zakup około tysiąca sztuk sond plus całego systemu odbiorczego, a nadto zaplanować i zorganizować zakup i zabezpieczenie mnóstwa dodatkowych elementów wyposażenia stacji (wodór, balony, chemikalia, drobne narzędzia itp.); była to ogromna i wyczerpująca praca. Zdecydowałem się na fińską radiosondę „Vaisala”, co okazało się bardzo trafnym wyborem i we wrześniu 1956 poleciałem do Helsinek na tygodniowy kurs obsługi tego systemu. Lot był z przesiadką w Kopenhadze. Samolot przylatywał bardzo późnym wieczorem, a człowiek z ambasady, który miał mnie odebrać i załatwić hotel, się nie pojawił. Z trudnej sytuacji wybawił mnie jakiś mój rówieśnik z personelu lotniska, zapraszając do siebie. Rano poczęstował mnie śniadaniem i dużym kubkiem prawdziwej, słodkiej kawy z mlekiem. Prawdziwa kawa była w tym czasie w Polsce kosztownym napojem luksusowym, pijanym z rzadka i w małych ilościach; po dawce, którą wówczas otrzymałem, mdliło mnie przez cały dzień i do końca pobytu w Helsinkach zapach kawy mnie odrzucał. Dopiero w Wietnamie przekonałem się, że mocna, dobra, czarna kawa, pita z umiarem i bez cukru jest rzeczą znakomitą.

Na zakończenie pobytu kupiłem sobie za 3\$ wielki, pięknie zdobiony i wypolerowany fiński nóż z wysokogatunkowej stali, ostry jak brzytwa. Miał mi służyć do obrony przed tygrysami i do wycinania sobie drogi w bambusowych gąszczach tropikalnej dżungli. Żaden tygrys jednak mi się nie trafił, a w tropikalnym klimacie nóż mi szybko zardzewiał, trochę się wyszczerbił na bambusowych drągach, ale nie w dżungli, tylko na jakimś płocie i nigdy potem nie udało mi się doprowadzić go do pierwotnej ostrości; jednak jako pamiątka służy mi świetnie. Gdy po dwudziestu kilku latach ponownie odwiedzałem Helsinki, taki nóż kosztował już około 100\$. Przez bambusowe gąszcze zdarzało mi się jednak przedzierać w czasie wycieczek, któreśmy sobie czasem w Cha Pa urządzali i w czasie jednej z nich gałęzie zerwały mi z palca ślubną obrączkę (i to w pierwszą rocznicę ślubu!). Nie udało mi się jej wówczas odnaleźć, ale jakoś bez niej przeżyliśmy z żoną 67 lat z hakiem i piątkę całkiem udanych dzieci odchowali.

Pobyt w Cha Pa nie okazał się tak niebezpieczny, jak to sobie niektórzy przed wyjazdem wyobrażali. Na dzikie zwierzęta nie natrafiłem, na węże trzeba było wprawdzie uważać, ale nie było to specjalnie trudne; na owady pomagała moskitiera, a na tropikalne zarazki przestrzeganie zasad higieny i pewne leki profilaktyczne. Klimat w Cha Pa na wysokości około 1500 m n.p.m był całkiem przyjemny, choć w zimie można było nawet zmarznąć. Nasi koledzy w Phu Lien mieli gorzej. Tam naprawdę bywało gorąco i duszno. Na koniec powrotnej podróży, która odbywała się w luksusowej kabinie pasażerskiej nowiutkiego frachtowca Polskich Linii Oceanicznych (PLO), zachorowałem wprawdzie na żółtaczkę zakaźną, ale najprawdopodobniej

nabawiłem się jej jeszcze w Polsce, w czasie szczepień przedwyjazdowych, zrobionych źle wysterylizowaną igłą. Jednorazowych igieł jeszcze wtedy nie było, a żółtaczka zakaźna (obecnie wirusowe zapalenie wątroby), dość wówczas pospolita, miewała długie czasy inkubacji.

Trafiła mi się jednak jedna naprawdę groźna sytuacja. 25 lipca miałem imieniny i na to konto nasz lekarz wyprawowy odlał nieco spirytusu z wielkiej butli, którą miał do celów w zasadzie medycznych. Jestem osobą praktycznie niepijącą, uczucia rauszu alkoholowego zdecydowanie nie lubię, ale czasami coś wypiję. Wtedy właśnie wypilem kilka kieliszków, po których niemal natychmiast dostałem takiego kaca, że musiano mnie intensywnie ratować zastrzykami insuliny i czegoś tam jeszcze. Wyglądało to na ciężkie zatrucie, wręcz groźne dla życia, ale, jak widać, jakoś mnie odratowano i po kilku dniach wróciłem do normy. Podejrzewa się, że zawiniła tu polietylenowa butla, w której ten spirytus był trzymany. Polietylen był wówczas pewną nowością i nie wiedzieliśmy, że rozpuszcza się w alkoholu. To, co piliśmy, było więc czymś w rodzaju nalewki na polietylenie. Moi koledzy chyba tej imprezy tak nie odchorowali; być może byłem szczególnie uczulony na tę truciznę.

Ale z alkoholem miałem jeszcze inną przygodę, prawie 20 lat później. W 1975 miała miejsce we Francji w Grenoble duża konferencja Międzynarodowej Asocjacji Meteorologii i Fizyki Atmosfery (IAMAP), na którą pojechałem w towarzystwie żony i 16-letniego syna swoim Volkswagenem-garbusiem, kupionym 8 lat wcześniej, gdy byłem na rocznym postdoku w Norwegii. Na tej konferencji był również Jurij Sedunov, specjalista od przemian fazowych wody, a wówczas wiceminister środowiska ZSRR, z którym trzy lata wcześniej, gdy jeszcze nie był wiceministrem, braliśmy obaj udział w amerykańskim eksperymencie gradowym (NHRE) w Colorado. Siedzieliśmy wówczas przez dwa miesiące w jednym pomieszczeniu polowej stacji eksperymentu, na prerii koło Grover, więc byliśmy dość dobrymi znajomymi. Ponieważ musiał wyjechać wcześniej, a pociąg miał o jakiejś niewygodnej godzinie, poprosił mnie, bym go tym moim garbusiem podwiózł na dworzec. Ale mój ośmioletni akumulator był już na „ostatnich nogach” i po chłodnej nocy nie chciał zakręcić rozrusznikiem, więc towarzysz wiceminister ze swym kolegą pchali mnie kilkadziesiąt metrów po parkingu, by zapalić silnik „na pych”, co się w końcu udało i dojechaliśmy na dworzec na czas. Na pożegnanie dostałem butelkę jakiejś wysokogatunkowej rosyjskiej wódki, którą po powrocie wręczyłem Ferdynandowi Orzechowskiemu, naszemu bibliotekarzowi i duszy życia towarzyskiego naszego Instytutu, by umieścić ją w jakimś reprezentacyjnym miejscu, jako eksponat muzealny. W końcu butelka wódki od radzieckiego wiceministra była tego warta. Ale po pewnym czasie moja żona potrzebowała trochę alkoholu, aby nasaczyć tort, robiony na jakąś rodzinną imprezę, a żadnego w domu nie było. Przywiozłem jej więc tę butelkę od Sedunova, ale po otwarciu okazało się, że jest w niej czysta woda, gdyż moi mili koledzy oryginalną zawartość potajemnie wypili i zastąpili kranową. Co dalej było z tortem, nie pamiętam.

Ponieważ czas przewidziany na moje wystąpienie się kończy, chciałbym jeszcze wyrazić głęboką wdzięczność wszystkim żyjącym i już nieżyjącym osobom, które w ciągu tych 70 lat współpracowały ze mną w dziedzinie nauk atmosferycznych. Bez ich udziału i pomocy nie zdołałbym z pewnością osiągnąć tego, co w tym zakresie osiągnąć mi się udało. A przede wszystkim chcę podziękować mojej tu obecnej żonie, która wprawdzie nie zajmowała się geofizyką, a uczyła matematyki na politechnice, ale bez jej współdziałania w naszym codziennym życiu, a zwłaszcza pogodnego znoszenia moich długich nieobecności, związanych z krajowymi i zagranicznymi wyjazdami (w końcu nasz

pierwszy syn urodził się, gdy byłem w Wietnamie), w życiu zawodowym też niewiele bym zdziałał. Zresztą ten jubileusz jest w pewnym stopniu także jej jubileuszem, bo jest ode mnie tylko trzy dni młodsza. Mieści się więc w granicach błędu, zważywszy że moje prawdziwe urodziny były 9 stycznia.

Krzysztof Haman,
23 lutego 2024, Warszawa